
"Od pługą do fonendoskopu", Bogumił Masiakowski, Lubasz 2008-2010 : [recenzja].

Acta Medicorum Polonorum 2, 166-167

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

narodowości polskiej. Mordowano nagle, w nocy, po przyjaznej poprzednio pogawędce na przyzbie. Mordowano także zbiorowo, całe wioski lub osady polskie. Palono chatupy z mieszkańcami. Znęcano się nawet nad zwłokami. Nie było tygodnia, żeby nie było takich wiadomości. [s. 62-63]



Bogumił Masiakowski, Od pługą do fonendoskopu. Lubasz 2008-2010. Brak numeru ISBN

Bogato ilustrowana fotografiami książka, niestety pozbawiona ISBN (a przez to istnieje na prawach maszynopisu), zawiera wspomnienia z życia wielkopolskiego lekarza, Bogumiła Masiakowskiego. Autor wiele uwagi poświęcił sprawom rodzinnym, ale odnotował także ciekawe przypadki ze swej praktyki lekarskiej. Jeden z nich przedstawia poniższy fragment:

Był szary, jesienny dzień, taki jak wiele innych o tej porze. Pełniłem dyżur w Pogotowiu Ratunkowym. Na skutek małej epidemii zachorowań wirusowych wezwań było sporo. Gdzieś koło godziny 23.00 nadeszło wezwanie do chorej z gorączką, zawrotami głowy, katarą i bólami stawów. Jednym słowem, objawy typowe dla zwykłego zakażenia wirusowego, na które najlepiej pomaga aspiryna, gorąca herbata i poty. Rodzina podawała jednak niepokój chorej, duszności i kołatanie serca. Wszystko to w odległości 42 kilometrów od Czarnkowa. Cóż było robić? Trzeba jechać z pomocą.

Stara, krztusząca się co chwila „Warszawa”, udająca karetkę pogotowia, z trudem pokonywała kolejne kilometry. Siedzący za mną sanitariusz drzemał, a ja zabawiałem kierowcę rozmową o wszystkim i o niczym. Po czterdziestominutowej jeździe, zjechaliśmy z głównej szosy w dół, błotnistym traktem w stronę Noteci. Było ciemno i mgliście. Wkrótce, gdzieś w oddali, zamajaczyły światła kilku chatup, leżących tuż nad rzeką. Skupisko kilku domów i zabudowań gospodarczych, bez jakichkolwiek opłotowań, oraz porzucane, rdzewiejące maszyny rolnicze, nie świadczyły dobrze o gospodarzach tej osady. Wałęsające się wychudzone psy, nie mające ochoty nawet poczekać na przybyśców, dopełniały widoku tej mizerni. Na nasze spotkanie wyszedł z latarką, prawdopodobnie, mąż chorej. Grzecznie wprowadził mnie do domu.

Z każdego kąta wyglądała tu bieda i nieporządek. W pokoju uchodzącym pewnie między innymi za sypialnię, na zmiętym prześcieradle w drewnianym łóżku leżała spoccona chora. Na podłodze wałała się słoma. Spod przykrytych czymś w rodzaju ręcznika

włosów, tępyimi oczyma patrzała na mnie wystraszona twarz. Pochylając się delikatnie nad chorą, zmierzyłem ciśnienie, tętno i gorączkę. Ostuchałem serce i płuca. Za wyjątkiem lekko podniesionej temperatury, nie znalazłem niczego niepokojącego. Zacząłem intensywnie myśleć o przyczynie wezwania karetki. Uderzał mnie dziwny, mdlący, nietypowy zapach rozprzestrzeniający się wokół chorej. Odstoniłem chustkę, przykrywającą głowę i zdrętwiałem. Oczom moim ukazał się pęk zmierzwionych i pozlepianych kleistą wydzieliną włosów. Wśród tych brudów, tu i tam, łąziły wszy! Opanowując wstręt i zdziwienie zapytałem chorej od jak dawna to już ma? A, to już dawno! To tak musi być! Chyba ktoś rzucił na mnie czary!

Wiedziałem już wszystko. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem KOŁTUN, o którym do tej pory tylko czytałem. Kłamiąc, że z powodu chorego serca pacjentkę muszę zabrać do szpitala, wypisałem przekaz i zabrałem ją ze sobą. Wiedziałem, że to „curiosum” medyczne. Ostatnie! W Wielkopolsce niespotykane! Trzeba to usunąć mechanicznie. To jedyna droga do wyleczenia.

Chora wstała, otworzyła starą, rozlatującą się szafę, wyciągnęła z niej całkiem przyzwoite futro, ubrała je na koszulę i pojechaliśmy. Futro w zestawieniu z kołtunem i walającą się słomą na podłodze, wyglądało tragikomicznie. W szpitalu wzbudziłem sensację wśród salowych, pielęgniarek, nie mówiąc już o koledze dyżurnym. Nazajutrz koło południa zadzwoniłem do ordynatora interny, aby dowiedzieć się, jak poszło usunięcie tego potwora na głowie. Zdenerwowany odpowiedział, że chora dowiedziawszy się, że ma mieć usunięty kołtun, ze strachu i przeświadczenia, że zaraz potem umrze, uciekła ze szpitala. Nigdy już potem o niej nie słyszałem” [s. 235-236].



Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, t. CXLVII, nr 15/2011 oraz Rocznik Zarządu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego za rok 2010/2011, Warszawa 2011, ISSN 1233-2062

W grudniu 2010 r. w Pałacu Staszica w Warszawie zorganizowano uroczyste obchody 190-lecia działalności Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (TLW), założonego w 1820 r. przez te same osoby, którzy utworzyły w 1809 r. Wydział Akademicko-Lekarski, a więc symbolizującego ciągłość wysiłku wielu pokoleń lekarzy dla dobra pacjentów i rozwoju nauk medycznych w Warszawie. Z okazji jubileuszu ukazał się kolejny tom, wznowionego w 1997 r. przez prof. Janusza Kapuścika, dyrektora Głównej Biblioteki Lekarskiej, „Pamiętnika Towarzystwa